

# Mądzika wrota snu

TEATR. Scena Plastyczna KUL na Świebodzkim

**B**ardzo trudno do zinterpretowania jest pokazany w piątek we Wrocławiu spektakl Leszka Mądzika. Albo – paradoksalnie – równie łatwy jak obrazy Beksińskiego. Mrok, niskie tony, nagłe czaszki i dziwne suknie. Tego doświadczamy za „Wrotami”.

Zwykle drzwi obok kasy prowadzą z foyer teatru na Świebodzkim do ciasnego przejścia. Potem ciemny korytarz, kilka wysokich stopni w górę i skręcamy, dotykając się mimo woły ramionami jak ślepy, w lewo. Stoimy w krypcie. Ledwo widać żółtawą poświatę. Ławy na wprost piętrzą się jak gigantyczne schody pod sufit z tkanin, które – choć napięte jak siatka w cyrku – przypominają zetlały baldachim nad głowami. Wciąż po omacku przedzieramy się przez stopy i kolana tych, którzy już usiedli. Dotykamy dłońmi chropawych ław. Docieramy wreszcie do płócienych ścian ledwo osmiałych światłem. Cisza dławi oddechy.

Czerń sali-krypty najpierw dosłownie rzeźbią niskie tony muzyki. Ledwo słychać monotonne, mechaniczne wirowanie jakby uspiomych machin. W lekkiej poświacie, aż oczy boją od wytrzeszczania, wylania się coś jakby obłok. Nad głowami słychać nagle dźwięczny szelst sypanego na tkaninę ziarna, kamyczków, a może padającego deszczu. Obłok wyraźniej, nabiera kształtu gigantycznego walca, najeżdżającego powoli aż na pierwsze rzędy widzów. Kolejne strugi pionowego światła rzeźbią fakturę płótna, które opina gigantyczne kola-stelaże, nadając walcowi potworny rozmiar.

Ta czarna, ledwo rozświetlona masa toczy się wte i wewte, jakby rozkołysana. Przeraza ogromem, ale za którymś momentem zaczyna namyślać potworność rozkładu. Może dlatego, że prawie każdy z nas kiedyś wchodził do plastikowej czy metalowej beczki lub wielkiego kartonu i – niewiele widząc albo widząc świat pokrętnie – pozwalał się toczyć w nieznanym. Dziwność i lęk to odczucia eksytujące każdego malca. Tak jest i teraz. Patos i irytacja trwają w nas równocześnie.

Potwór Leszka Mądzika ma w sobie niby-okna czy ekrany, które od czasu do czasu nagle rozświetlane ukazują – jak w oknach w nocy czy supertelewizorach – odczłowieczone postacie. Nie wiem sam – może to Parki, może Boska Trójca, może kosmiczni potępieńcy uwięzieni w nadprzestrzennej turze z obrazu Boscha. Dość monotonna muzyka utrzymana w stylu dawnych kompozycji Edgara Froeseego sugerowała też raczej koszmarność sytuacji niż jej komiczność, więc choć powracał w mojej wyobraźni dość natarczywie, wątek Aykroydowski raczej odpada, ale okryte śliskim tworzywem czaszki postaci i ich dziwne kostiumy upodabniały bohaterów nieznośnie do dziwostworów z filmu „Stożkoglówi”.

Podaję, że każdy ma taki kosmos, na jaki zasłużył. Im dłużej trwały „Wrota”, tym mniej poważnie miałem odczucia. Kąpiące się w dżgającej wannie postacie, które tam wlały po rozłożeniu walca – świetny wizualnie był zabieg rozkładania potwornej konstrukcji na płask – pływały na plecach zapewne w mitycznej rzece zapomnienia. Znani mi różnicy mieli jednak podobną, może nieco krótszą, wannę na wiejskim podwórzu. Pławił się w niej drób, więc – nie ma siły na żartobliwe skojarzenia – czarne „Wrota” przysł nieodwracalnie. Ani późniejsze powolne wędrówki wzdłuż wanny wymarzonej z wody twarzy i stóp, ani płuski, gdy bohaterowie zdłżeń wybiegali z wody, nie przywróciły już we mnie powagi.

Podobne odczucia musieli mieć też inni, bo niepewni końca akcji klaskali raczej opieszale. Wychodząc wśród okrzyków „to naprawdę już koniec”, żartowali nad „martwymi” czy „uspiętymi” ciałami aktorów ułożonych pod przezroczystą, plastikową podłogą, która wiodła do schodków. Powaga przysła, puenty nie było.

Taka jest chyba natura sennego koszmaru. Co prawda można o nim komuś opowiedzieć. Ale postronnych obserwatorów ten koszmarny może tylko rozbawić lub znużyć. Bo tak naprawdę zły sen każdy z nas musi przeżyć sam.

LESZEK PULKA

Leszek Mądzik, „Wrota”. Spektakl z 27 października Sceny Plastycznej KUL na Scenie na Świebodzkim



Każdy z widzów zapewne inaczej interpretował symboliczne gesty aktorów